Rok 1938 23 stycznia Nr 4

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



Oto takie sceny straszliwe odbywały się w wielu miejscowościach Polski w okresie Powstania Styczniowego. Jak widzimy, nie brakło i męczeńskiej śmierci małych dzieci, nabijanych na piki i bagnety przez pijane żołdactwo moskiewskie.

Ku uczczeniu nieśmiertelnej walki narodu o wolność

Bardzo drogą i pamiętną obchodzimy w tym miesiącu rocznicę. Oto mija równo 75 lat od chwili ostatniego polskiego powstania, które miało na celu, jak i poprzednie — odzyskanie utraconej wolności.

Właśnie w mroźne dni z 22 na 23 stycznia roku 1863, rozpoczęła się ta walka nasza orężna ostatnia (do czasów wojny światowej) — w chwili, kiedy młodzież polską w całym zaborze rosyjskim miano wziąć w rekruty, by z niej zrobić posłusznych carowi żołdaków moskiewskich.

Uprzedzając tę nieuchronną „brankę", opuścili młodzi bojownicy ogniska rodzinne i z bronią w ręku, pozostałą im po ojcach i dziadach, umknęli nocą do obozów ukrytych w leśnych gęstwinach.

Rozpoczęły się potyczki, walki, bitwy, większe i mniejsze, zwycięstwem, to znów klęską się kończące. A w całym kraju nastąpiło straszliwe prześladowanie przez Moskali wszystkiego, co polskie, puszczanie z dymem wsi i dworów, wyłapywanie ukrywających się powstańców, aresztowania, więzienia, konfiskowanie majątków, nieludzkie katowanie obwinionych o bunt przeciw carowi „miatieżników", zsyłki na Sybir do kopalń na długie lata, wygnanie na całe życie, szubienice i rozstrzeliwania.

Polska, jak długa i szeroka pokryła się żałobą. Nie było domu, gdzieby kogoś nie utracono, nie opłakiwano, czy to jako poległego w boju, czy więzionego lub wysłanego na męki sybirskie.

A jednak walka trwała dalej. Rozbite oddziały zbierały się na nowo, poległych zastępowali świeży ochotnicy, gotowi tak samo na wszelką ofiarę, na śmierć, bo tu chodziło przecież o wolność, o wyrwanie Polski z pod ohydnej

przemocy. Naród nie mógł pogodzić się z niewolą, nie mógł zapomnieć o przeszłości z własnym rządem, własnym wojskiem, własnymi prawami i dążeniami. Polaka nie można było bezkarnie zakuć w kajdany, odebrać mu możność oddychania powietrzem swobody.

To też nie łatwo było wrogom zdusić powstanie, mimo, że wszystkiego brakło wojownikom, że o wszystko starać się musiano w ukryciu, z własnego grosza, bez niczyjej pomocy. Dlatego to jedynie możliwa była walka małymi oddziałami (czyli t. zw. partyzantka), które wypadając niespodziewanie, nękały ciągle nieprzyjaciela, nie dając mu nigdy spokoju i nie zezwalając na otwartą bitwę w polu, gdzie wielkie masy Moskali, świetnie uzbrojonych, musiałyby przemóc najdzielniejsze zastępy powstańcze.

Ale też z drugiej strony, o wiele trudniejszą była taka walka. Wszak nie można było nawet gdzie odwozić rannych, trzeba było ukrywać ich po dworach, po chatach, gdzie każdej chwili mogli wpaść w ręce węszących jak psy — Kozaków. Wszak władze kierujące powstaniem musiały być tajne, musiały zmieniać ciągle miejsce swego pobytu, swoich obrad, gdyż cała Polska, aż po dalekie granice Litwy, zasiana była moskiewskimi szpiegami.

A przecież ta najtrudniejsza, najcięższa ze wszystkich, a zarazem najofiarniejsza walka o Polskę, trwała najdłużej; liczyła setki bitew, z których ostatnie toczyły się nawet już po straceniu członków Rządu Narodowego, których w liczbie pięciu powiesili Moskale na stokach Cytadeli warszawskiej d. 5 sierpnia 1863 r.

Oto nazwiska tych niezłomnych bojowników wolności, których pamięć niechaj serca polskie zachowają na zawsze: Roman Żuliński, Jan Jeziorański, Józef Toczyski, Rafał Krajewski i naczelnik rządu, dyktator Romuald Traugutt. Zaprawdę najczcigodniejsi to męczennicy nasi, których skronie otoczyła zasłużona aureola świętości.

A iluż było im podobnych, których życie kończyła jeśli nie kula z moskiewskiego karabinu, czy stryczek szubienicy, to okrutne knuty, odrywające ciało od kości, śmierć wśród mrozów Sybiru lub potworne prace w kopalniach, gdzie przykuci za ręce i nogi łańcuchami do taczek, wlekli żywot niewolniczy w męce i w tęsknocie za daleką a utraconą Ojczyzną.

Wszystkich uczestników powstania roku 63-go obliczają historycy do 30.000. Z nich żyje do dnia dzisiejszego już tylko 52. Są to oczywiście starcy 80 i przeszło 90-letni, którzy w chwili wstąpienia do szeregów powstańczych byli młodzieńcami.

Między nimi są też i kobiety, bez których w ogóle pomocy, osłony, opieki i współdziałania, powstanie byłoby musiało upaść po kilku tygodniach. Wszak one to przede wszystkim troszczyły się o żywność, odzienie, bieliznę, lekarstwa, bandaże, nawet broń; one służyły często jako kurierki w dostarczaniu ważnych wiadomości, rozkazów; one ostrzegały o zbliżaniu się nieprzyjaciela, odwiedzały więźniów, pielęgnowały chorych i rannych, narażając się na najstraszniejsze kary i prześladowania.

Nie ma natomiast przy życiu już ani jednego kapłana z tych, którzy brali udział w ciężkich zmaganiach narodu o wolność. Wszyscy zginęli albo na szubienicach, albo zostali rozstrzelani, albo złożyli swe męczeńskie głowy wśród śniegów sybirskich obok tysięcy swych braci.

Powstanie styczniowe roku 1863 unieśmiertelnił w swoich przepięknych rysunkach Artur Grottger, któremu „Dzwoneczek“ poświęcił w zeszłym roku dłuższe wspomnienie, zamieszczając jednocześnie w numerze 4 jego portret i jeden z rysunków, przedstawiający bój powstańców w lesie.

Rozpamiętując w 75 rocznicę tę świętą walkę narodu o wolność, wyryjmy sobie w sercach niezatarty nakaz służenia Polsce ze wszystkich najlepszych swych sił. Bezcenny bowiem i krwawy okup złożyli za nią najlepsi jej synowie.

E. O.

Dziaduś

Kibitki stoją przed dworem — we dworze światła goreją.
Tam stary dziaduś wieczorem, dziatwie i wnukom koleją,
o bojach za Polskę prawi i przyszłość ich błogosławi.

— Służcie Ojczyźnie! — tak woła — zgubion, kto Polsce nie służy!
Ani przy śmierci — anioła, ni ciszy serca wśród burzy
nie będzie dusza mieć taka, hańbiąca imię Polaka!
Ojczyźnie służcie wytrwale!

...Wtem we drzwiach stają Moskale...
— Miatieżnik! — sprawnik mu rzecze —
Na ciebie Sybir jest w prawie!
Tyś krzyż postawił, człowiecze, za rozstrzelanych w Warszawie.

Ty kochasz plemię to wraże —
Car w Sybir odwieźć cię każe!

I skinął, by mu okuli łańcuchem ręce i nogi.
Dziatwa do dziadka się tuli, mimo żołdaków batogi.
— O, dziadziu — woła ze łzami — o, broń się, pozostań z nami!

— Bóg z wami — dziaduś odpowie — Ojczyźnie służcie wytrwale!
Ja na sybirskie pustkowie gdzieś kości swoje powalę...
Lecz duch mój będzie nad wami... w niebiosach, między gwiazdami...

O dawności żubrzego rodu

Innymi znów zapiskami przyrody, odczytywanymi dziś przez uczonych, są też różne szczątki roślinne i zwierzęce; są nimi np. na węglu kamiennym odciski liści przedpotopowych paproci, które wielkością dorównywały wspaniałym drzewom, znajdywane w głębi ziemi kości mamutów i t. d.

Zapiski takie zostawili nawet sami ludzie, owi przedhistoryczni nasi pra-pra - praszczurowie, którzy już żyli w owych lodowych i nielodowych okresach ziemi. Dziś bowiem podróżnicy, przyrodnicy, uczeni, bardzo często w różnych jaskiniach, pieczarach, odkrywają na skałach najrozmaitsze rysunki, które dają nam jakie takie pojęcie o owych przedhistorycznych czasach i ludziach.

Z takich właśnie, uwiecznionych w głębi podziemnych grot, rysunków skalnych we Francji, Hiszpanii dowiadujemy się, że żubry żyły istotnie w Europie w epoce lodowcowej i były ulubionymi zwierzętami łownymi ówczesnych myśliwców. Obok wizerunków zwierzęcia widnieją też niekiedy rysunki strzał, oszczepów, jakimi walczyli z tym groźnym przeciwnikiem.

Co jeszcze ciekawsze, to to, że znaleziono nawet rzeźby żubrów i to w niektórych wypadkach bardzo umiejętnie i prawdziwie odtwarzające postać i ruchy tych zwierząt. Najprawdopodobniej rysunki owe i rzeźby w związku z jakimiś tajemniczymi obrzędami religijnymi, miały na celu uproszenie bóstw, by dało się utrzymać nadal ród żubra, już nawet naówczas coraz rzadszego, a stanowiącego dla ludzi owych epok bezcenny pożytek.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski. (Ciąg dalszy)

— Bratki wy moje — mruknął wzruszony leśnik. — Toć dalipan warto starszym dożyć jeszcze długo, by doczekać onej wielkiej przemiany... Słyszeliście może, jak to raz wątła roślinka, co wyrosła w szparce kamiennej podłogi więzienia, przywiązała napowrót do życia starego, dożywotniego skazańca: chciał on już sobie śmierć zadać w rozpaczy, lecz zaniechał tego, zobaczywszy niespodzianie, jak to maleństwo zielone rwie się gwałtem do życia, mimo tylu i takich przeciwności.

Chłopcy spojrzeli po sobie i w mgnieniu oka porozumieli się. Z trojga piersi huknęła naraz w głuszy leśnej jedna z licznych śpiewek Janka, przyczem zakończeniu każdej strofy towarzyszyło jednoczesne uderzenie trzech siekier o drzewo.

Pan Rymsza aż ręce zacierał z radości, słuchając skautów, których śpiew strwożył ptactwo dokoła.

— Dalipan, bratki moje, chłopczyki... — wołał i po kolei ściskał im dłonie; poczem na pniu dęba, ściętego przez drwali przed kilku tygodniami, przysiadł, jakby miał im coś powiedzieć i mówił ciszej, spokojniej:

— Niegdyś była taka młodzież... Ale to bardzo dawno... W pokoleniu waszych ojców nie spotykano już takich junaków... Od ciągłego pochylania się nad książką, na ciasnej ławie szkolnej tak pierś im się zwęziła, skarlała, że dalipan nie zmieściłby się w niej szeroki dech wolnych pól i wielkich borów. To też wszystek kwiat młodzieży uwiązł w murach miejskich na zmarnowanie, wcale nawet nie poznając lasu, który zamknął w sobie tajemnice przyrody. Ich wszystkich las przerażał, trwożył; przed świeżym powiewem, idącym ku nim z jego krain przepastnych, chronili się oni poza gmachy coraz wyższe, coraz dumniejsze... Aż się wśród nich zaczęli dusić, przytłoczeni jakby głazem grobowym, na którym błyszczą głoski złote.

Trzej młodzieniaszkowie z rosnącym zaciekawieniem wsłuchiwali się w dziwne słowa leśnika, wśród pełnej tajemniczości ciszy lasu, za którym już znikała, opuszczając się wciąż niżej, jaskrawa do niedawna lampa słońca.

— Gdy tak na was, skauty, patrzę, to mi się przypomina z młodych lat, kiedy dla studiów podróżowało się tu i ówdzie, osobliwy kościół w pewnej wsi nad jeziorem. Jego stara wieża, pamiętająca średniowiecze, niknie zupełnie pod bluszczem. Nic by w tym jeszcze nie było dziwnego. Ale dopiero w nawie staroświeckiej świątyni ogarnia cię zdziwienie. Oto pośrodku dwa wysmukłe pnie wychodzą z pomiędzy płyt kamiennych i pną się ku oknom, idąc wężowym skrętem wzdłuż wysokich szyb do dwu otworów w górze, a wydobywszy się przez nie na zewnątrz budynku, rozpościerają się swobodnie dopiero na wolnym powietrzu.

— Tak — odezwał się Leszek — na murach odwiecznych, a pod gołym niebem, lecz nie w ich wnętrzu, nie w zamknięciu...

— Pytałem — ciągnął dalej pan Rymsza — mieszkańców wsi, bardzo dumnych ze swoich naprawdę przepięknych bluszczów, które wobec innych mogą uchodzić za istne olbrzymy, skąd się wzięły tam, wewnątrz kościółka, te wspaniałe drzewa, i dowiedziałem się, że to raz dawnymi czasy, zgoła niespodziewanie otwarła się szczelina między dwiema płytami posadzki kościelnej, aby przepuścić pęd bluszczu.

Chciał go zaraz stróż kościelny wyrwać, lecz mu proboszcz zabronił, mówiąc: „Skoro Bóg pozwolił tej słabej roślince rozsunąć ciężkie, jak głaz grobowy płyty kamienne, byłoby świętokradztwem sprzeciwiać się Jego prawom“.

(Ciąg dalszy nastąpi).